

ANDRZEJ ZIMNIAK

DWA
LITRY
ŻYCIA

 SAGA
EGMONT

ANDRZEJ ZIMNIAK

DWA
LITRY
ŻYCIA

 SAGA
EGMONT

Andrzej Zimniak

Dwa litry życia

Saga

Dwa litry życia

Zdjęcia na okładce: Shutterstock
Copyright © 2022, 2022 Andrzej Zimniak i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728363935

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

POJEDYNEK

Zbliżał się do Miasta. Opuścił już piaszczyste równiny i wspinał się na rozległy granitowy płaskowyż, przeniknięty silnym strumieniem energii z wnętrza Ziemi. Czuł, jak jego tkanki regenerują się, a myśli stają się szybsze i jaśniejsze. Wyczuwał bliskość Miasta - płynęły zeń potężne rzeki rozrzedzonych fal radiowych. Miasto pulsowało tysiącami istnień ludzkich - namiętnościami, pragnieniami, smutkiem, radością, dobrocią i złem. Ogólną wrzawę życia co chwila przeszywał cichnący krzyk umierającego, ponad tysiącem głosów i szmerów wypływał ogrom ulgi rodzącej kobiety lub wzlatywała bezwolna rozkosz kochanków.

Jonat uśmiechnął się bezgłośnie. Oto trzy krzyki życia: poczęcie, narodzenie i śmierć. Reszta - to tylko szepty o tych trzech wyznacznikach istnienia.

Miasto ukazało się wreszcie jak na dłoni. Jego Miasto. Mrugało tysiącem świetlistych rozbłysków, sypało kaskadami barw, buzowało promieniowaniem. Lecz te sygnały cywilizacji technicznej nie obchodziły Jonata. Interesowali go ludzie. Mali i wielcy. Dobrzy i źli. Te niepowtarzalne hybrydy nieklasyfikowalnych cech. Ludzie, których nikt nie rozpoznał, którzy nie znają siebie i nie mogą się sprawdzić w codziennym, przypisanym im rytuale życia.

Jonat kochał to Miasto. Chętnie przebiegłby ulicami, zajrzał na podwórza pełne kwiatnych klombów i odwiedził poddasza starych domów z palonej cegły. Niegdyś lubił zatrzymywać się o zmierzchu pod nagrzanymi jeszcze słońcem murami, po których rozpełzło się dzikie wino,

i wtedy dawał się przenikać wirem namiętności ludzkich. Teraz jednak musiał odłożyć to wszystko na później, a być może - zaniechać na zawsze.

Stłumił w sobie wzruszenie i szybkim spojrzeniem obrzucił całe Miasto. Wśród masy ludzkiej w wielu miejscach jarzyły się umysły obiecujące i zdolne, nawet wybitne, lecz żaden z nich nie przekroczył jeszcze progu samouświadomienia. Jonat odetchnął z ulgą. W Mieście nie było Olsena.

Szedł wmieszany w różnobarwny tłum przechodniów. Przygarbił się, głowę wciągnął między ramiona. Nikt go nie poznał, lecz Jonat przypominał sobie wielu mieszkańców, każdy dom, plac, ulicę. Z ulicznych kawiarenek, spośród kolorowych lamp, młode dziewczyny posyłały nieznanemu uśmiechy.

Skręcił w boczną aleję i znalazł się przed domem Ojca. Ścieżka jego zabaw dziecięcych porośla trawą, rozbuchany gąszcz gałęzi muskał go po głowie i karku. Drzwi były otwarte, po podłodze biegały małe, zielone jaszczurki. Widok biurka z rozrzuconymi na nim książkami sprawiał wrażenie, że Ojciec wyszedł tylko do sąsiedniego pokoju.

W przyległym pomieszczeniu stał stary, zniszczony stół. „To na nim uczyłem się ustawiać klocki, czytać i pisać”. Jonat położył dłoń na chropowatym blacie i ciepło wspomnień przeniknęło mu palce. „Przy stole siedzi złotowłosa, rumiany chłopczyk i ze złością odrzuca nieudane rysunki. Wreszcie wściekłość malca nie daje mu pracować, po policzkach spływają łzy, bieleją palce zaciśnięte na krawędzi blatu. Nienawistny wzrok skierowany jest na stos kartek, które w pewnym momencie... zaczynają falować, miąć się i zgniatać w papierową kulę. Gorąca fala złości odpływa, pozostawiając tylko ogrom zdziwienia.

Za plecami chłopca stoi Ojciec. Wyciąga rękę w stronę jasnej główki. Będziesz silny, bardzo silny - mówi”.

Jonat przerwał pasmo wspomnień i wyszedł w zieloną, pachnącą ciemność ogrodu. Na tle aksamitu nieba z przyszytymi perłami gwiazd pędziły rzeki fal radiowych, ostre strumienie w pasmach telewizyjnych, słabe, lecz charakterystyczne odbłaski telepatyczne. Nieforemne kłęby fal zamkniętych, tułające się jak sny o bezpańskich myślach, zwiastowały bliskość silnej burzy magnetycznej.

W głębi ulicy jakaś dziewczyna w długiej, ciemnej szacie pośpiesznie ukryła się w bramie. Z mroku ktoś nadchodził - wysoka, szczupła postać mężczyzny. Jonat skupił się jak umiał, ale nie był w stanie spenetrować jego mózgu. „Olsen?” - przemknęło mu przez głowę.

Zbliżający się mężczyzna wykazywał czujność i gotowość do konfrontacji. Był już bardzo blisko - płowe włosy, wysokie czoło, czujne, nerwowe spojrzenie, głowa wciągnięta między szerokie ramiona.

Zimny strach. A potem szok - to przecież on sam! Wyprostował się i popatrzył na siebie - wtedy lustrzany obraz wybrzuszył się, rozmazał i spłynął gdzieś w bok.

Z bramy wybiegła dziewczyna owinięta w szary, długi szal. Przysunęła swoją mokrą twarz tak blisko, że czuł jej płytki oddech.

- Uciekaj stąd - szepnęła zduszonym głosem. - Odejdź natychmiast, błagam.

Jej głos przeszedł w niezrozumiały bełkot, w rozbieganych oczach czaił się obłąd. Usta miała wypukłe, pełne, namiętne.

- Odnajdę cię - rzucił za nią, kiedy już zdjął z niej obcą hipnozę. Uciekła przestraszona.

„Nie odejdę!” - krzyknął bezgłośnie, odrzucając ostrzeżenie Olsena. Musiał podwoić czujność. Ostateczna rozgrywka zbliżała się szybko.

Wąskie uliczki Starego Miasta wyludniały się. Późna pora i ból głowy spowodowany rozwichrzoną, zasnuwającą Miasto burzą magnetyczną zapędzały mieszkańców w zacisze sypialni. Jonat przeciskał się przez gęsty, jakby lepki mrok zaułków wyłożonych gładkim kamieniem rzeczonym. Uwagę miał napiętą aż do bólu. „Chce mnie zmęczyć” - pomyślał. Jednak w miarę jak jego ciało słabło, duch zdawał się potężnieć i uzupełniać niedostatki fizyczne.

Przypomniawszy sobie pomarszczoną jak wysuszony owoc twarz Matki, mlecznosiwe włosy zaczesane gładko do tyłu. Gdy Ojciec uczył go władzy nad umysłami innych, Matka zawsze mówiła: „Synu, bądź również dobry i sprawiedliwy. Używaj wielu oczu, bowiem jedna para może okazać się zawodna. Wyczuwaj wiele wymiarów. Kochaj”.

Agresja! Jak swąd palonej skóry, jak zduszony trzask zgniatanego lustra. Jonat nie ruszając się z miejsca odbił uderzenie i odruchowo wypuścił potężną kontrę o szerokim spektrum działania, raczej dla osłony i zyskania na czasie niż w celu unicestwienia przeciwnika. Natychmiast uchwycił słabe punkty w mózgu napastnika i zaczął już wypuszczać skoncentrowane, dobrze dostrojone uderzenie, kiedy nagle poczuł bezcelowość akcji. Przeciwnik został unieszkodliwiony pierwszym ciosem obronnym.

Jonat pchnął zmurszałe drzwi i w ciemności wszedł na górę skrzypiącymi schodami, wyczuwając zapach moczu i zbutwiałego drewna. Na podeście leżał stary, lichy ubrany człowiek w pozycji świadczącej o bezwładnym upadku. „Zimny okład na czoło!” - polecił dziewczynie, skulonej w najdalszym kącie. Zły na siebie wyszedł w mrok nocy. Omal nie zabił ulicznego rzezimieszka.

Burza rozszalała się na dobre. Mierzwa kłębow falowych zawładnęła niebem, przytępiła promyki gwiazd, wyciszyła potoki długości radiowej. W miejscach silnego promieniowania urządzeń elektrycznych interferencja

wyzwalała kaskady barwnych rozbłysków lub tornada z rozjarzonego pyłu. Co chwila nabrzmiące energią niebo z głuchym młaśnięciem przekazywało jej nadmiar do wstrząsanej razami Ziemi.

Na początku poczuł małą mrówkę biegającą pod włosami, po czaszce. Zanim zorientował się i zaczął stawiać osłonę, było już za późno. Potężne uderzenie, mogące z łatwością zabić, zważyło go z nóg. Było na szczęście w dużym stopniu chybione - zwiad trwał zbyt krótko na pełne rozeznanie. Następny cios, nie mniej potężny i wymierzony o wiele precyzyjniej, Jonat odbił już z łatwością. Błyskawicznie zlokalizował Olsena, który zdemaskował swoją pozycję atakiem, i wypuścił szerokie kontruderzenie. Szybko penetrował mózg przeciwnika i bił w słabe punkty krótkimi, lecz dokładnymi ciosami. Sam odparowywał serie podobnych uderzeń.

Zaprzestali tych wściekłych, chaotycznych, bezcelowych razów i zmęczeni przyglądali się sobie nawzajem. Olsen, stary i doświadczony mistrz, który niejednemu niebezpieczeństwu stawiał już czoło, zajął pozycję obronną. Jonatan mógłby być jego synem - zdolny, uparty, entuzjazmem młodości pokrywał brak rutyny. Tylko jeden z nich mógł pozostać w Mieście.

Jonat wyszedł już poza przedmieścia. Minął ostatnie małe domki z czerwonej cegły, otulone kożuchem pnącej roślinności, i posuwał się brzegiem szemrzącego potoku. Lecz świat ten nie istniał teraz dla niego - poruszał się w krainie rozbieganych prądów, wezbranych rzek falowych i skłębionej wełny burz magnetycznych. A przed nim rozbłyskiwał podstępny cios umysł Olsena, człowieka, który po raz drugi chciał wypędzić go z Miasta. Wypędzić już na zawsze.

Jonat spróbował zastosować stary fortel. Klucząc dla niepoznaki, zbliżył się do płytkiej niecki geologicznej,

szybko wskoczył w jej ognisko i posłał przeciwnikowi grad uderzeń. Olsen ugiął się pod ich ciężarem, lecz zdołał wypuścić kontrę. Ten zaprawiony w bojach weteran wiedział doskonale, że zagłębienie wymyte w pokładach rudy może być równie dobrym emiterem, jak i kolektorem wiązki fal. Cios przedarł się przez gardę i tępym obuchem zdzielił Jonata, który z największą trudnością odczołgał się na bok. „Na szczęście on też dostał swoje” - pomyślał. Inaczej mógłby teraz wykończyć go w ciągu sekundy.

Strzępy burzowych fal odpłynęły, a w czarny przestwór nieba wylały się ogniste rzeki promieniowania wschodzącego słońca. Jonat za każdym razem był zdumiony bogactwem i grozą tego widowiska, i zawsze wtedy żał mu było innych ludzi, zdolnych obserwować jedynie żałośnie mały wycinek widma.

Taki właśnie ranek wstawał przed wielu laty, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Wtedy Olsen zwyciężył Ojca, zadał mu ostatni cios po całonocnych zmaganiach. Lecz nie zabił, stosując się do niepisanego prawa walki mistrzów. Ojciec wraz z rodziną został wygnany z Miasta. Od tego czasu nigdy już nie doszedł do dawnej świetności, żyjąc z dala od rodzinnych stron coraz bardziej zapadał na zdrowiu. A Olsen...

Jonat, tknięty nagłą myślą, rozpoczął znów ostrożną penetrację mózgu odpoczywającego, ale czujnego Olsena. Lecz nie mógł znaleźć tego, czego chciał, choć ślizgał się po powierzchniach myśli, zapuszczał w meandry wspomnień, przebiegał pokłady pamięci. Zupełnie nic?! Wydawało się to niemożliwe. Owszem, w zwojach pamięciowych trafił na zapis zdarzeń tamtego dnia, lecz była to tylko kronika z zachowaniem ścisłej chronologii, i na tym koniec.

Poprzez stare, infantylne pokłady pamięci dostał się w obszar płytkiej podświadomości. Czuł się nieswojo

i nie całkiem w porządku, ale jakie było inne wyjście? Jak w nieprzejrzystej wodzie przesuwają się zagmatwane kształty myśli, pragnień i wyobrażeń, dające nigdy w pełni nie uzewnętrzniany obraz człowieka. Jonat czuł się jak złodziej w sanktuarium świętości, bo cóż bardziej świętego i intymnego można mieć poza własną nagą podświadomością, o której naturze mamy tylko mgliste pojęcie, poza bezbronny ja, odartym z wszelkich ozdób, masek i konwenansów?

Aby przeniknąć głębiej, musiał skorzystać z energii swojej osłony obronnej. Należało teraz działać szybko, ponieważ przeciwnik mógłby go z łatwością dosięgnąć. Szukał więc gorączkowo wśród wspomnień, marzeń, pragnień. I choć nie wnikał głębiej w żadne z nich, ślizgał się raczej tylko po ich powierzchni, zadziwiło go bogactwo i wewnętrzne sprzeczności tego człowieka.

Wreszcie znalazł. Zepchnięte na dno podświadomości, pełne bólu i poczucia winy wspomnienie walki z Ojcem Jonata, obraz zsyłanych na wygnanie. Długie, bezsenne noce. Wyrzuty sumienia, ledwie zaprawione dumą zwycięzcy. Lecz jaki bezmiar goryczy! Goryczy wypędzanego z wielu miast. Zgorzknienie tułacza. Zapiękły żal do ludzi. Olsen od najmłodszych lat nie miał Domu. Walka z Ojcem o Miasto była ostatnią szansą starzejącego się, steranego życiem człowieka.

Jonat żałował teraz, że tak głęboko spenetrował to miejsce. Nie było czasu na rozważania etyczno-moralne, jak zwykle zresztą. Ciśnienie faktów pchało do rozwiązań dyktowanych prostą walką o byt. Zastanowienie przychodziło później, lecz znów nie zmieniał w niczym dalszych działań.

Pospiesznie przepisał do swojej świadomości poczucie winy Olsena, jego ból i wyrzuty sumienia. Następnie znowu

osłonił się podwójną gardą i przygotował do ostatecznej rozgrywki.

Rozpoczął bezładną wymianę ciosów, w którą stary mistrz, nie podejrzewający pułapki, dał się bez trudu wciągnąć. Gdy przerwali, zmęczeni, Jonat skupił się aż do bólu, wskoczył błyskawicznie do ogniska niecki geologicznej, tej samej, którą wykorzystywał uprzednio, i wypuścił skoncentrowaną wiązkę. Zawarł w niej cały żal, ból i świadomość popełnionego okrucieństwa, cały dokonany przed chwilą wypis z zakamarków mózgu Olsena. Wiązkę wzmocnił na tyle, na ile potrafił. Wyrzuty sumienia mogą męczyć, lecz wzmocnione stukrotnie poczucie winy - może zabić.

Mózg Olsena próbował się bronić, stawiać jakąś zaporę, wypuścić kontrę, tak jak ranne zwierzę usiłuje niezdarnie uciekać, ciężko potykając się i kłusując powietrze, aż zwali się bezwładnie na ziemię. Był zwyciężony.

Droga do Miasta dla Ojca, całej rodziny i dla niego stała otworem, lecz Jonat w pełni czuł gorzkość tego zwycięstwa. Położył się na fragmencie muru, otaczającego niegdyś Miasto. W życiodajnych promieniach słońca przyroda wokół budziła się z nocnego odpoczynku. Poczul ciepłą falę radosnego podniecenia kilku dziewcząt, biegnących brzegiem strumienia. Młode pędy roślin stroiły się w delikatne korony fal wzrostowych, życie zdawało się cieszyć samym faktem swojego istnienia.

Jonat biernie rejestrował zachodzące wokół zjawiska. Stał się ślepy na barwy zdarzeń, jego mózg maskował wszelkie emocje i wzruszenia. Postarzał się o wiele lat w ciągu tej nocy.

Białą, pylistą drogą, ciężko stawiając kroki, odchodził stary, pokonany człowiek. Tak jakby to mogło pomóc, Jonat uściskał mu dłoń.

ZRĘBY WŁADZY

Otworzyłem drzwi obite grubą warstwą dźwiękochłonnego tworzywa i wszedłem. Profesor, kwadratowy łysy mężczyzna o stalowych oczach, siedział za masywnym biurkiem zavalonym papierami. Rozmawiał właśnie przez telefon, składając komuś uniżenie podziękowania i życzenia, lecz dostrzegł mnie po chwili i zaprosił nieznacznym gestem do zajęcia miejsca. Gdy skończył, zaproponował kawę, po czym zamówił ją u sekretarki. Nie wiedziałem, po co mnie wezwał, on zaś przedłużał milczenie smakując moją niepewność, którą kiepsko maskowałem obojętnie wpatrując się w rozrzucone po biurku drobiazgi. Wreszcie, nie spuszczając ze mnie wzroku, odezwał się niskim głosem:

- Panie kolego. - Tu zaciągnął się papierosem. - Jak idą pańskie badania?

Oho, pomyślałem, trochę za dużo teatru i oficjalnego stylu jak na zwykłą rozmowę. Tylko o co mu chodzi?

- Doskonale, panie profesorze. - Starłem się odpowiadać swobodnie. - Właśnie rozpocząłem próby nad elektrycznymi właściwościami włókien nerwowych w obniżonych temperaturach. Sądzę...

- Taak - przerwał mi cicho, tonem niedopuszczającym sprzeciwu. - Rozpoczął pan, sądzi pan. To też ciekawe. Ale - i tu nieznacznie podniósł głos - mnie teraz interesują wyniki już otrzymane. Chciałem zauważyć, że właśnie upływa pół roku pańskiego stypendium. Słucham pana.

Wejście było ostre, nie spodziewałem się właściwie takiego ataku. Straciłem więc nawet tę uprzednio

wymuszoną swobodę i o to pewnie staremu chodziło. Pierwsza runda była przegrana.

- A więc, panie profesorze, zaraz po okresie wstępnego instalowania się rozpocząłem próby, to jest badałem procesy chemicznej transmisji impulsów przez nerwy w różnych temperaturach.

- I...?

- Stwierdziłem, że już w okolicach zera stopni Celsjusza zanikają one zupełnie, a kilka prób w temperaturach niższych nie wykazywało wzrostu aktywności, co było, to znaczy, co przewidzieliśmy uprzednio.

- Ej, panie kolego, znów ten brzydki żargon naukowy. - Profesor pokręcił z niesmakiem głową, a ja pomyślałem z satysfakcją, że taki łysy to już niedługo pożyje. - Pan może być w okolicach Koziej Wólki, ale nie zera stopni. Ale wracajmy do meritum sprawy. Młody człowiek na pana miejscu, z pana aspiracjami, może sobie pozwolić, aby spośród dziesięciu eksperymentów, no, powiedzmy, dwa były nieudane lub negatywne. A pan przychodzi po pół roku pracy i mówi mi, że owszem, parę doświadczeń panu nie wyszło, a inne są w planie. To jest sygnał, że trzeba się poważnie zastanowić.

Byłem coraz bardziej zdenerwowany, maska wystudiowanej obojętności dawno ze mnie opadła. Czułem w ustach suchość języka, a nieprzyjemna chrypka przeszkadzała w mówieniu.

- Ależ, panie profesorze, w tej nowej dziedzinie każdy wynik...

- Byle jaki wynik nie jest dobry w żadnej dziedzinie - stary wszedł mi w słowo. - Liczą się dobre wyniki i tylko takie - dodał z naciskiem. - A samymi hipotezami daleko nie zajdziemy. W związku z brakiem wyników w dotychczas badanym przez pana kierunku - zaczął znów

spokojnym niskim głosem - proponuję zmianę tematyki. Będzie to dla pana jeszcze jedna szansa wykazania się.

- Panie profesorze, ja właśnie zacząłem najważniejsze doświadczenia!

- W naszym Instytucie - głos szefa grzmiał teraz donośnie po wszystkich kątach gabinetu - nie przeprowadza się doświadczeń nieważnych. Wszystkie bez wyjątku są ważne - zakończył konfidencjonalnym szeptem, jakby zdradzał tajemnicę państwową. - To byłoby wszystko, panie kolego - znów zahuczał gromko - za pięć minut mam zebranie, przepraszam, ale muszę już iść. Aha, proponuję, aby zajął się pan preparatami ułatwiającymi przejście w stan hibernacji. Doktor Agira wprowadzi pana w zagadnienie. Życzę powodzenia i wydajniejszej niż dotychczas pracy. - Spojrzał niemal wesoło, wstając.

Nie dał mi żadnych szans.

Przez grubą szybę okienną, nastawioną przez kogoś na maksimum przepuszczalności, wpadało czerwone światło wieczoru i załamywało się obłymi refleksami w szkłe ustawionej aparatury. Przypatrywałem się bezmyślnie barwnym plamom o karminowych wnętrzach i żółknących obrzeżach, gasnącym we wnętrzach kolb i chłodnic w miarę jak słońce zachodziło. Wypełniony aparaturą pokój tonął w coraz głębszym mroku. W odległym kącie pracował przy swoim biurku Stef, a jego biurkowa lampa wydała mi się latarnią morską, przewodnim światłem na końcu ciemnego szlaku wiodącego pośród nieokreślonych kształtów i niezrozumiałych zdarzeń. Stef odwrócił się, jakby moja zmaterializowana myśl dotknęła jego ramienia.

- Hallo, En! - zawołał do mnie. Dlaczego En? Nie mogłem sobie przypomnieć, kto pierwszy tak mnie nazwał. Potem przyjęło się. - Nie słyszałem, jak wchodziłeś. Co masz taką grobową minę? - gadał wesoło, podchodząc z rękami w kieszeniach. - Oho, widzę, że nie na żarty przejąłeś się starym. A w dzisiejszych czasach...

- Zażądał zmiany tematu - przerwałem szorstko. Przyjacielska gadatliwość Stefa bywała denerwująca.

Spoważniał, ale widać było, że usilnie szuka dla mnie jakiegoś pocieszenia. Poklepałem go po ramieniu.

- Nie jest tak źle, stary. - Oznajmiłem swobodnym tonem. - Dam sobie radę, nie martw się o mnie. Dziś idę się zabawić, nie mam już ochoty na pracę, a jutro na przekór wszystkiemu i wszystkim skończę ten eksperyment, być może kluczowy dla całego projektu.

- To nazywa się twarde podejście do sprawy. - Stef uśmiechnął się, zadowolony, że nie musi występować w roli pocieszyciela. - Jutro mam trochę luzu przy moich próbach, pomogę ci.

Wszedłem w szarość korytarza, również gęsto zastawionego aparaturą i sprzętem pomocniczym. Na chropowatej betonowej ścianie przymocowany był komunikator. Wybierałem kolejno numery kilku moich przyjaciółek lub znajomych, lecz żadna z tych, które zgłosiły się, nie miała wolnego wieczoru. Zły, rozłączyłem się. Przyjdzie mi upić się samemu, pomyślałem, lecz jednocześnie narastał wewnętrzny bunt. I nagle, wtedy po raz pierwszy, doznałem tego niesamowitego uczucia.

Głowę przebiegały mi naprzemienne fale gorąca i zimna, lub raczej - zgęszczonej i rozrzedzonej materii. I choć zjawisko trwało krótko, zdawało mi się pod koniec, że czaszka staje się elastyczna niby balon napełniony wodą, a deformują ją w jednostajnie identyczny sposób dwa szeregi przemykających z obu stron, swobodnie

zawieszonych walców. Na płaszczyznę zamazanego pola widzenia wypełzły świetliste punkty, rozlewały się szeroko jak kręgi na wodzie i wsiąkały w obraz.

Dolegliwości ustąpiły, pozostał jedynie lekki ból w skroniach. Nadal stałem oparty o chropowatą ścianę tuż przy komunikatorze. Na szczęście nikt nie zauważył tej chwilowej niedyspozycji - jeszcze brakowało, żeby zaczęto mnie cucić! Byłby temat do żartów w całym instytucie.

Ruszyłem przed siebie. Czułem się dziwnie lekki, nogi jakby same niosły mnie naprzód. Przypisywałem to doskonałej kondycji fizycznej, co z kolei wprawiało mnie w dobry nastrój. Zmory dzisiejszego popołudnia prysły i miałem nadzieję, że nie będą zakłócały zbliżającej się zabawy. Nie wiedziałem jeszcze, dokąd i z kim pójdę, ale miałem pewność, że wieczór będzie udany.

Aksamitny, wilgotny zmierzch opadł już na trawiaste boisko, pod którym rozlokowane zostały trzewia cyklotronu. Spóźnieni biegacze w swoich odcinających się od tła białych szortach powracali z wieczornego treningu. Pod jasną płachtą pomarańczowo-zielonego nieba zawisły nieruchomo małe, rozświetlone od dołu chmury.

Wsiadłem do auta i ruszyłem ostro; rozkoszowałem się prędkością. Odczuwałem fizyczną przyjemność, gdy stalowe cielsko maszyny z łatwością rozcinało masy napływającego naprzeciw chłodnego, wieczornego powietrza. Czułem się znów dziwnie lekki, chwilami zdawało mi się, że ktoś inny prowadzi wóz, że obce ręce dotykają kierownicy, a ja przyglądam się z boku. Może ktoś podsunął mi skręta z marihuaną?

Pędziłem w kierunku swojego hotelu, kiedy nagle zauważyłem z boku wystawowe okna centrum handlowego. Zahamowałem gwałtownie i skręciłem na parking. Ależ to jasne! Że też wcześniej nie wpadłem na ten prosty pomysł.

- Dobry wieczór, panno Krystyno - zacząłem, opierając się o kasę.

Poszło łatwiej, niż się spodziewałem. Już kwadrans po zamknięciu sklepu siedzieliśmy w nocnym barze przy butelce dobrej brandy, a wokół nas migotały kolorowe światła, płynęła muzyka i wytwarzał się nastrój wesołej zabawy. Alkohol palił w gardle, po ciele rozchodziło się przyjemne ciepło. Doświadczałem uczucia poprzedzającego lekki zawrót głowy - coś jakby drobne przesunięcie świadomości w kierunku beztroski. Nachyliłem się do siedzącej obok dziewczyny

- Wiesz, Kris, dobrze mi z tobą. Bardzo dobrze. A teraz wypijmy za zdrowie mojego szefa. Dał mi dziś wspaniały temat, rokujący nie byle jakie perspektywy!

- Będzie mu to policzone. - Kris zaśmiała się głosem może o ton za głębokim jak na filigranową blondynkę o sarnich oczach i pełnych, nieco wysuniętych ustach. Z każdym kieliszkiem wydawała się piękniejsza i powabniejsza.

Potem poszliśmy tańczyć. Czułem ją taką drobną, ciepłą tuż koło siebie, oparła czoło o mój policzek, płynęliśmy gdzieś w takt melodii, której już nie słyszeliśmy. I wtedy znów coś zaczęło się dziać. Stawałem się lekki, nieobecny. Oglądałem rzeczywistość wokół jak film, a może raczej śniłem? Trzymałem w objęciach jakąś dziewczynę, dosyć chyba ładną, ale zdecydowanie zbyt szczupłą. Czułem się tak, jakbym tańczył z manekinem pośród przetaczających się wokół bezkształtnych ludzkich mas. Chciałem przerwać ten koszmar, ale spostrzegłem, że zupełnie nie panuję nad własnym ciałem.

Dalej ciężko tańczyłem jak jakaś kukła w kiepskim teatrzyku gałganiarzy, obłapiając coraz mocniej tę chudą dziewczynę, a wszystko rejestrowałem jakby zza półprzejrzystej zasłony w dusznym, wilgotnym powietrzu. Dopiero po powrocie do stolika puściły kleszcze trzymające

mnie w uścisku. Płaski, mdły obraz wyostrzył się, nabrał stopniowo trzeciego wymiaru i barw, wrażenia wzbogaciły się o zapachy i dźwięki. Jak poprzednio, wokół nas płynęła muzyka, a Kris, znów piękna i pociągająca, przyglądała mi się z troską. Miałem przez chwilę wrażenie, że to nie ja, lecz świat zewnętrzny ulega kolejnym dewiacjom, jakimś chwilowym odchyleniom od maksymalnej wartości prawdopodobieństwa. W każdym jednak wypadku moja osoba w zmienionej rzeczywistości musiała wydawać się równie osobliwa, jak odmienione otoczenie dla mnie.

- Kris, kochanie, te tutejsze chińskie przyprawy... widocznie mi nie służą. W przyszłym tygodniu zaprowadzę cię gdzie indziej, zobaczysz.

- Wiesz co, En - dziewczyna była lekko przestraszona - posiedźmy tu jeszcze trochę. Jesteś cały mokry.

- W porządku, skończymy nasze koktajle. Wiesz, Kris, ja myślałem, to jest... nigdy nie miałem czegoś takiego. To zdarzyło się po raz pierwszy.

- Nie przejmuj się tym teraz, En. Odpocznij. Następnym razem wszystko ułoży się lepiej - nieszczercze mówiła Kris. Oboje wiedzieliśmy, że następnego razu nie będzie. Z oczu dziewczyny wycierał strach, uważała mnie z pewnością za gościa, co nie wszystko ma po kolei pod sufitem.

Aby zatuszować zmieszanie, zacząłem rozglądać się po sali. Panował gwar, wielobarwny tłum falował, a wśród czerwonych lamp unosiła się mgła tytoniowego dymu. W pewnym momencie drgnąłem - prawie zasłonięty szerokim ozdobnym filarem, przy stoliku wciśniętym pomiędzy palmę a barek siedział łysy, kwadratowy grubas. Przeprosiłem Kris i wstałem.

Obszedłem powoli filar kierując się w stronę toalety. Przechodząc w pobliżu baru od niechcenia odwróciłem głowę, niby rozglądając się po sali. Przy stoliku obok palmy nie było nikogo! Na białej serwetce stała tylko niedopita

filizanka kawy. Dalsze spacerowanie nie miało sensu, powróciłem więc do swojego stolika. Gdy zapalałem papierosa Kris, łysy grubas znów siedział na dawnym miejscu. I choć z tej odległości nie mogłem dojrzeć jego twarzy, byłem pewien, że do ust ma przyklejony swój zwykły, ironiczny uśmiech.

Byłem wściekły, lecz jednocześnie paraliżował mnie lęk. Wokół mnie czaiło się coś nieznanego, działały nieprzyjemne siły, których nie potrafiłem zrozumieć, a więc tym bardziej nie mogłem się im przeciwstawić.

Ten łysy, kwadratowy grubas. Czy chce mnie tylko pognać, ośmieszyć, czy też zniszczyć za to, że śmiałem być różny od stereotypu nadskakującego stypendysty? A może jest mu to obojętne, po prostu stałem się przypadkowym obiektem jego rutynowych przyjemności?

Pośpiesznie zapłaciłem, odwoziłem Kris do domu i udałem się do siebie. Natychmiast zapadłem w ciężki, krótki sen człowieka odurzonego alkoholem.

- Pani Heleno, co pani robi?

- Przygotowuję panu szkło - odrzekła dziewczyna spokojnym, miłym głosem panienci z informacji telefonicznej, kontynuując wprawnymi ruchami demontowanie mojej aparatury.

- To jakaś pomyłka, ja tego wszystkiego będę dzisiaj używał!

- Jutro zaczynamy eksperyment z lekami prohibernacyjnymi, chcę więc przygotować wszystko jak należy. Od dziś jestem pana laborantką. - Jej miły, lecz bezbarwny głos w innych okolicznościach działałby zapewne uspokajająco.

- Proszę to natychmiast zostawić!

- Ależ, proszę pana, ja pracuję tylko do czwartej, mam niewiele czasu. - Mój wybuch nie wpłynął w najmniejszej mierze na jej zachowanie. Nadal myła zręcznymi ruchami szkło i układała je równo w suszarce.

- Niech pani mnie posłucha, pani Heleno. - Zacząłem od początku, zmuszając się do spokoju. - To dla mnie bardzo ważny eksperyment, który, być może, pozwoli podsumować półroczną pracę! - Mimo woli podniosłem głos. - A pani, ot tak, demontuje mi aparaturę! Czy pani to rozumie?

- Chcę panu pomóc. Zaraz rozpocznę instalowanie zestawu do jutrzejszego doświadczenia. - Była zbyt głupia albo zbyt mądra, aby wdawać się w dyskusję.

Zacisnąłem pięści w bezsilnej wściekłości. Przecież nie będę się z nią bił! Warknąłem:

- Kto panią przysłał?

- Znalazłam dziś rano na swoim biurku kartkę z poleceniem. Sądzę, że od doktora Agira, ale może od profesora. - Jej głos nie podniósł się ani o jotę podczas naszej rozmowy, nie zaprzestała również precyzyjnego układania szkła.

- I nie ma wątpliwości, że to pani jest moim pomocnikiem, a nie na odwrót?

Łykała wszystko gładko.

- Oczywiście. Postaram się pomóc panu jak najwięcej. - W grymasie mającym oznaczać uśmiech odsłoniła solidne, szeroko rozstawione zęby.

Byłem bezsilny. Wyszedłem, trzasnąwszy drzwiami.

Musiałem komuś o tym opowiedzieć. Stefa nie było w bibliotece, znalazłem go dopiero w laboratoryjnej chłodni. Ubrany w zbyt obszerny waciak, ekstrahował

coś z szarych płatów tkanki za pomocą szeregu buforów. Nie zdziwił się specjalnie, widząc mnie mocno wzburzonego; widocznie wiedział już o likwidacji mojego stanowiska pracy. Uzgodniliśmy, że zjemy razem obiad.

Kierując się ku wyjściu minęliśmy szereg potężnych agregatów chronionych przed niepowołanymi specjalną instalacją alarmową. Było to królestwo doktora Agira i oczko w głowie profesora - w każdym z tych oszronionych podłużnych pudeł, w temperaturze niewiele odbiegającej od zera bezwzględnego, spoczywał człowiek. Ci zahibernowani ludzie czekali na rozwój medycyny albo byli ciekawi jutra, a może mieli nadzieję znaleźć w świecie przyszłości coś, czego próżno poszukiwali teraz i tutaj.

Udaliśmy się do małej włoskiej restauracji na wolnym powietrzu. Tam nad kuflem piwa uspokoilem się prawie zupełnie, choć nadal snulem pełne determinacji plany. Jednego byłem pewien: powinienem opuścić instytut.

- Co to jest władza? - rzuciłem na wpeł do siebie, na wpeł do Stefa.

- System represji stosowanych przez państwo w celu zapewniania sprawnego funkcjonowania jego mechanizmów - wyrecytowałem.

- Nie, chodzi o coś innego. O władzę człowieka nad człowiekiem, o wpływ jednostek na inne jednostki. Widzisz, hierarchia administracyjna nie zawsze odpowiada rzeczywistej sytuacji. A nawet jeśli odpowiada, to ukształtowała się pod wpływem takich, a nie innych osobowości ludzkich. Formułki „urodzony kierownik” lub „zdolności organizacyjne” to tylko parawany, próby obejścia zagadnienia.

Przez rzadkie liście figowca przeświecało popołudniowe słońce, tworząc na obrusie stolika plataninę roztańczonych złotych plam podobnych do refleksów falmorskich

na piaszczystym dnie. Mocne piwo rozleniwiało ciało, lecz stymulowało myśli, pobudzało do skojarzeń. Władza. To problem, który ciekawił mnie naprawdę. Nie biochemia, fizyka i chemia, bo w tych dziedzinach, po zachłannych i z pewnością pasjonujących studiach, doszedłem w końcu do etapu drobiazgowych analiz zamiast frapującej syntezy, do wyświetlania drobnych obrazków zamiast ogólnego, całościowego spojrzenia. Lecz nie pragnąłem osiąść władzy, zupełnie nie o to mi chodziło. Chciałem zrozumieć jej istotę, dotrzeć do korzeni, do przyczyn. Dlaczego jeden człowiek ma wyraźny wpływ na innych? Co kryje się pod pojęciami silnej albo ujmującej osobowości? Czy władza to tylko brutalna przewaga fizyczna, czy coś znacznie więcej? Przecież przemoc nie oznacza jeszcze zapanowania nad umysłem, a ono daje dopiero całkowite uzależnienie. Rozwój cywilizacji technicznej polega w pewnym sensie na rozszerzaniu władzy nad przyrodą ożywioną i nieożywioną, nad czasem i przestrzenią. A czy życie jako takie nie polega na władaniu materią i energią, na odpowiednim sterowaniu ich przetwarzaniem? Immanentną cechą życia w ogóle jest ciągła ekspansja, żarłoczne podporządkowywanie sobie wszystkiego po drodze, i spostrzeżenie to będzie słuszne dopóty, dopóki nie poznamy ożywionych form materii opartych na prawach rozwojowych odmiennych od naszych. Na razie zaś nowe światy możemy kreować tylko na zasadzie łamigłówki, kombinując dobrze znane elementy w innym niż dotychczas porządku. Lecz czy wtedy powstają nowe jakości? Pytania, pytania! Czy kiedykolwiek znajdę na nie odpowiedzi, choćby na jedno z nich? Może uda mi się zastosować jakąś nową metodę badawczą, doskonalsze narzędzie poznania. Wtedy miałbym szansę.

Monotonny głos Stefa zwolna zaczął przesączać się przez chaos myśli.

- Ci, którzy łatwo uzyskują supremację nad otoczeniem, muszą mieć jakąś szczególną cechę lub wyższe niż inni parametry tej cechy osobowości. Jeden z wektorów ich pola bioelektrycznego ma znacznie większe natężenie niż średnia...

Po kilku solidnych łykach piwa zaczęło mnie to wszystko bawić. I dziwne zdarzenia wokół mnie, i teorie Stefa.

- To niezłe. Pomyśl, gdyby ten wektor odpowiednio wzmocnić, można byłoby kreować władców. Wystarczyłby stymulator w breloczku.

Urwałem nagle w pół zdania. Znów tam był! Wstałem raptownie i, potykając się w slalomie między stolikami, rzuciłem się ku wyjściu. Teraz nie może mi ująć!

Omam nie zderzyłem się z kelnerem, otarłem się o mur kamienicy w wąskim przejściu na ulicę i wypadłem za furtkę. Oddalony o jakieś dwadzieścia metrów, stromym chodnikiem schodził w dół kwadratowy łysy grubas w ciemnym garniturze. Ruszyłem za nim biegiem. Słyszam pościg zaczął uciekać, lecz byłem znacznie szybszy i już po chwili rzucałem mu w twarz dyszące, złe słowa. Ale urwałem nagle, bo ujrzałem starego, nieznanego człowieka. Słowa przeprosin uwieżyły mi w gardle. Powlokłem się z powrotem, przygarbiony i zawstydzony.

Seminarium było długie i nudne. Prelegent mamrotał do tablicy, pokazywał dziesiątki tabel i rysunków i stawiał mnóstwo hipotez.

Spojrzałem po audytorium. Najbliżsi współpracownicy wykładowcy słuchali uważnie, ciekawi raczej formy, ponieważ treść znali doskonale, natomiast inni uczestnicy wyglądali na mniej lub bardziej znudzonych beznamiętnym tokiem wypowiedzi.

Ewa. Siedziała w ostatnim, najwyższym rzędzie. Choć twardo postanowiłem usunąć ją ze swoich myśli i pragnień, nie mogłem teraz oderwać wzroku od delikatnego owalu jej twarzy, gładko zaczesanych do tyłu i związanych w węzełek krótkich włosów, oczu o aksamitnym wejrzeniu, drobnej figury. Wyobraziłem sobie, jak schodzi w kierunku wyjścia - cechował ją jedyny, tak bardzo kobiecy sposób poruszania się, i drobne, niemal niedostrzegalne ruchy głowy, ramion i bioder, które zawierały całą jej kruchość, nieporadną delikatność, a jednocześnie giętkość kotki. Co z tego, kiedy była niegrzeczna. Wprost opryskliwa, kiedy usiłowałem zalecać się do niej. Miała swojego Larry'ego i była absolutnie monogamiczna.

Głos prelegenta dudnił nadal przed wykresami, tabelami, plątaniną krzywych.

Ręce o pomarszczonej skórze, starej i zniszczonej chemikaliami. Moje ręce? Czuję się tak, jakbym swoje młode, lekkie dłonie trzymał w kieszeniach, a na pulpicie pozostawił te zewnętrzne, obce powłoki, jak skóry po przepoczwarzeniu. Ale one ruszały się? Chyba robiły notatki czy po prostu mazały coś bezmyślnie w notesie, który leżał jak wielka księga na ogromnej czerni pulpitu. Inni ludzie siedzieli daleko, wielcy i dostojni, jak nieruchome posągi. I to dudnienie, tak głucho i odległe... jakby pusty beczkowóz toczył się po bruku... Co to za dziewczyna, tam w górze schodów o coraz wyższych stopniach, jak wycięta z komiksu, siedzi na wysokim stołku i uśmiecha się z pobłażaniem; te ręce zgrabiały, chyba moje, coś piszą w księdze pamiątkowej uczelni, podanie do Pana o przeniesienie w stan Wiecznej Szczęśliwości, jeszcze podpis i już mogę wyjąć swoje własne ręce z kieszeni, położyć na pulpicie, słyszę szmer, to posągi zadają pytania, prelegent już odwrócił się do audytorium, odpowiada normalnym głosem, a w górze,

w ostatnim rzędzie, siedzi drobna mała Ewa, o której miałem już nie myśleć.

Było mi lekko i dobrze. Odczekałem do końca seminarium i udałem się do profesora. Płynąłem korytarzami jak balonik napełniony gazem rozweselającym, a sprzęty wokół opalizowały i miały opływowe, harmonijne kształty.

Bez słowa położyłem podanie na biurku szefa. Kwadratowy łysy starzec z obojętnym wyrazem twarzy przeczytał pismo.

- Więc pan chce odejść. - W beznamietnymgłosie wyczułem nutę ironii. - Czy pan sądzi, że to właśnie jest najlepszy sposób?

- Można to nazwać odejściem. Przemyślałem tę kwestię dokładnie. Chcę mieć szansę.

Szef ponownie rzucił okiem na trzymany ręką arkusz.

- Czy pan rzeczywiście cierpi na nowotwór?

- Nie, ale...

Profesor obojętnie przedarł moje podanie i wrzucił do kosza.

- Panie kolego, nas również obowiązuje etyka.

Grzebał chwilę w biurku, po czym wyciągnął formularz i dał mi do wypełnienia.

- Proszę wpisać, że zgadza się pan na eksperyment naukowy, a całą odpowiedzialność sam pan ponosi. I podpis. Zwykle - dodał po chwili - poddajemy hibernacji ludzi wybitnych i starszych lub chorych. Ale tym razem zrobię wyjątek.

Zaaplikowano mi serię zastrzyków nasennych i przygotowujących. Świat zamazał się jak na poruszonym zdjęciu i osunął do tyłu, zapadłem głęboko w studnię

nieświadomości. Ciało umieszczono w chłodni, gdzie procesy życiowe zaczęły zwalniać swój bieg, aż zamarły całkowicie. Niepotrzebną krew wymieniono na roztwór soli i kontynuowano oziębienie. W temperaturze ciekłego azotu moje ciało stało się lodową martwą bryłą, pozbawioną duszy. Aby zapobiec szcątkowym procesom degradacji temperaturę obniżono niemalże do zera bezwzględnego. Spoczywałem teraz w potężnym agregacie, zanurzony w ciekłym helu. Przez wiele lat to otoczenie miało być moim domem. I w tych warunkach, kiedy atomy zatrzymują się w swoim odwiecznym biegu, a oscylacje molekuł niemal zamierają, przemieniając się w najcichszy szept materii, dusza powróciła do ciała zakłętego w amorficzne struktury. Sploty nerwów i pajęczna sieć neuronów, przechwytyjąc niby antena energię impulsów bioelektrycznych ludzi żyjących w świecie wysokich temperatur, wytwarzały prądy w swoich nadprzewodzących wnętrzach. Owe impulsy nerwowe, mozolnie przenoszone przez gęstwą atomów rozszalałych w zwykłej temperaturze ciała, teraz przemierzały nadprzewodzącą sieć nerwową swobodnie i bez żadnych strat energii. Mózg w tych odmiennych warunkach potrafił znacznie więcej niż dawniej. Oszołomił mnie potok nowych wrażeń, odbierałem siebie i świat innymi zmysłami, musiałem uczyć się wszystkiego jak niemowlę. Pole bioelektryczne interferowało teraz w wyraźnie wyczuwalny sposób z wysepkami materii ożywionej. Zalał mnie i przygniótł potężny strumień odczuć z tego samego, lecz jakże innego świata! Byłem bezradny.

Wtedy rozległ się Głos. I natychmiast dojrzałem ich tuż obok - kruche, nadprzewodzące siatki neuronów, mieniące się intensywną cyrkulacją bioprądów - ludzkie, a jednocześnie tak inne intelekty, do których teraz i ja należałem. Głos wyjaśniał i uczył mnie, wprowadzał w nowy rodzaj życia, odkrywał przed moim raczkującym

umysłem rozległe możliwości, jak również niemałe trudności. Okazało się, że nad swoimi żywicielami i opiekunami mamy rozległą władzę, przy czym nawet nie podejrzewają, jak wiele dziedzin ich działalności znajduje się pod kontrolą. Nie wiedzą nawet o istnieniu naszego intelektu i dowiedzieć się nie powinni.

Teraz zrozumiałem wiele dziwnych zdarzeń ze schyłku mojego poprzedniego życia. Pojąłem wkrótce po przebudzeniu, że niemalże cały program badawczy instytutu był inspirowany, więcej - kierowany właśnie stąd. Dlatego tak wielkie środki przeznaczono na eksperymenty hibernacyjne; wszak służyły one doskonaleniu warunków istnienia naszej inteligencji cieplnego obszaru brzegowego. Rozkaz przerwania moich doświadczeń, mogących odsłonić rąbek tajemnicy, pochodził również od istot, które teraz powołały mnie do swego grona. Nasza władza rozciągała się już daleko poza instytut i stopniowo sięgała coraz dalej. Zrozumiałem również, dlaczego zostałem przyjęty do społeczności tych kriolitycznych intelektów, zrodzonych z ludzkich układów nerwowych. Moje badania naukowe, które mogły niepotrzebnie rzucić światło na niektóre biochemiczne zjawiska niskotemperaturowe, nie stanowiły wielkiego problemu, nie one więc były bezpośrednią przyczyną. W skład grupy włączano po prostu jednostki zdolne, aby zwiększyć siłę oddziaływania, a tym samym umocnić jej władzę nad otoczeniem. Przy czym zdolności stanowiły w tym świecie synonim potencji twórczej. Inteligencja indywidualna rozumiana jako szybkość korzystania z zakodowanej w mózgu informacji oraz wiedza będąca zbiorem tychże informacji nie miały dużego znaczenia na tym poziomie rozwoju możliwości integracyjnych grupy. Natomiast zdolności twórcze - cecha wybitnie jednostkowa - stanowiły podstawę dalszego postępu i każdy, kto mógł wnieść coś nowego, był

preferowany przy wyborze. Moje rozważania nad istotą problemu władzy, tak fantastyczne i błahe w świecie, który opuściłem, tutaj wzbudziły zainteresowanie. Mogłem wreszcie urzeczywistnić swoje marzenia i poświęcić się pracy, do której czułem powołanie. O ileż większe miałem teraz możliwości jej realizacji!

W tej perspektywie profesor wydał mi się małym i posłusznym wykonawcą naszych poleceń, jednostką o umiejętnie wykorzystywanych skłonnościach do megalomanii. Teraz byłem w stanie upokorzyć go, doprowadzić do załamania - lecz nie odnalazłem w sobie ani śladu zwykłej ludzkiej chęci zemsty, jawiła się ona jako puste pojęcie. Skojarzyłem też wiele faktów po odkryciu, że możemy i władać, i poznawać, i rozumieć piękno, lecz nie potrafimy jednego: odczuwać doznań związanych z funkcjami ciała. Wszak nasze ciała są lodowymi bryłami, funkcjonują tylko intelekty. Ale i tutaj możliwe było rozwiązanie - podłączenie się do sfery przeżyć zwykłych żywych ludzi. Postanowiłem spróbować tej metody jeszcze dziś wieczorem.

Larry był w doskonałym nastroju. Miał dzisiaj dobry dzień, a teraz siedział wygodnie rozparty w fotelu w swoim mieszkaniu, sączył koktajl dzinowy z lodem i czekał na Ewę. Powinna zjawić się lada chwila. Niecierpliwe, pełne napięcia oczekiwanie sprawiało mu fizyczną przyjemność. Nie zwlekałem dłużej - nawiązałem kontakt falowy. Nasze częstości encefalograficzne były różne, czułem więc przez chwilę lekkie pulsowanie, zanim nie dostroiłem swojego biopola. Dla Larry'ego synchronizacja okazała się bardziej uciążliwa - chwycił się oburącz za głowę i zbladł wyraźnie. Lecz po chwili dobry humor powrócił. Czuł się

teraz jakby lżejszy, ponieważ odbierałem mu, na razie niewielką, część wrażeń, w tym również fizyczne poczucie wagi ciała.

Wtedy weszła Ewa, jak zwykle pełna nieodpartego powabu. Miała na sobie tylko zwiewną letnią sukienkę, tak że niecierpliwe dłonie Larry'ego nie napotkały na swojej drodze wielu przeszkód. Na razie rejestrowałem bieg wypadków jak scenę z sugestywnego filmu, choć miałem już drobny udział w odczuciach kochanków. Dotychczas powstrzymywałem się całą siłą woli, aby nie wkroczyć zbyt wcześnie - mógłbym wszystko zepsuć. Ewa, na początku nie wciągnięta jeszcze w grę namiętności, od razu spostrzegłaby inność Larry'ego i istniała ewentualność, że mogłaby się usunąć. Więc przy grze wstępnej nie chciałem ryzykować, lecz wreszcie nadszedł właściwy moment.

Wniknąłem zdecydowanie w umysł młodego mężczyzny, nie napotykając prawie żadnego oporu, i zepchnąłem jego świadomość gdzieś daleko w bok, na peryferyjne obwody neuronowych splotów, pozostawiając jej tylko niezbędne minimum swobody koniecznej do przeżycia. Od tej chwili Larry śnił jedynie mętny i niespójny sen o biegu wydarzeń, nad którym ja panowałem całkowicie. To ja odczuwałem gibkość i sprężystość jego ciała, nad którym miałem teraz całkowitą władzę. To mnie przebiegały drżące fale gorąca, kiedy tuliłem tę kobietę, której ruchy były nieporadne jak zawsze, lecz teraz stokroć bardziej fascynujące.

Ewa musiała spostrzec odmienne zachowanie partnera. Wyczuwałem ogrom szczęśliwego spełnienia tej małej istoty, kiedy opadła bez tchu na moją (moją?) pierś, patrząc na mnie z bezgranicznym zdumieniem. Przez moment poczułem muśnięcie żalu i tęsknoty za dawnym, prostym i ograniczonym życiem, i może za losem, który mógłbym z nią dzielić. Gdyby kiedyś wybrała mnie, może wszystko